

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez
Gastona René.

I.

Było to pewnego poranku w lutym.

Przy wysokim oknie, z komfortem urządzonego buduaru, stała baronówna Leontyna Brepont, pogrążona w głębokim rozmyślaniu. Zacerwienione oczy wskazywały, że ich piękna właścicielka musiała przed chwilą ronić łzy; wzrok, którym usiłowała przebić tumany sniegu, pędzone zachodnim wiatrem, nosił wyraz wewnętrznego bólu, a pięknie wycięte wargi drżały nerwowo.

„Z każdą chwilą zbliża się rozstrzygająca godzina“ szepnęła z lekkim drżeniem w głosie baronówna. „Anatol już powinien być się zjawił! Nie wiem dlaczego ten dziwny lęk nie chce mnie opuścić, a jeszcze wczoraj wieczór byliśmy oboje tak szczęśliwi. Czyżby miało go spotkać jakie nieszczęście?”

Baronówna była w ślubnej sukni, której ostatnie spięcie dopiero co zapieła garderobiana.

Ojciec jej, ran de Brepont, był jednym z najbogatszych ludzi arystokratycznej dzielnicy Paryża. Pochodząc z magnackiej rodziny, nie uważał za uwłaczające swej godności eksploatować kilku olbrzymich wapienników na prowincyi, które powiększały jego majątek z każdym rokiem. Wcześniej stracił żonę, która pozostawiła mu córeczkę, liczącą obecnie lat dziewiętnaście.

Zakosztowawszy w młodych latach życia, poświęcił się wyłącznie wychowaniu dziecka, które kochał nad życie. Nie było niczego tak kosztownego, co byłoby za drogiem dla jego pieczy. Pierwszy występ jej w świat był tryumfalnym pochodem, bo piękna Leontyna podbiła swym wdziękiem cały zastęp młodzieży, która otaczała stale dziewczicę. Żaden jednak nie wzbudził silniejszego uczucia w sercu dziewczyny, która dotychczas nie pomyślała o tem, aby związać swe losy z losami kogoś drugiego. Bogaty ojciec, który miał tylko dobro i szczęście Leontyny na oku, troszczył się o to usilnie, aby córce znaleźć męża, któryby odpowiadał marzeniom młodej dziewczyny. Tymczasem nie mógł znaleźć nikogo między wielbicielami baronówny, któryby odpowiadał jego życzeniom.

Pewnego dnia, a raczej pewnego wieczora, nastąpiła jednak zmiana.

Na wieczorze, który zgromadził całą arystokrację stolicy, poznała Leonia księcia Bligny. Książę mógł liczyć około lat trzydziestu. Odbierał dalekie podróże, na co mu pozwalał jego olbrzymi majątek. Niedawno powrócił do Paryża i stał się punktem atrakcyjnym wszystkich zebranych towarzyszy. Opowiadano o jego szalonej odwadze, której dał dowody podczas swych dalekich podróży. Oprócz tego był to człowiek nadzwyczaj piękny, co przy jego majątku, znakomitem pochodzeniu i romantyczności, która go otaczała, składało się na to, że niejedna z paryskich piękności byłaby z chęcią oddała mu swą rękę i majątek. Brigny utracił już dawno rodziców, którzy posiadali zamek w Tyrienne i po ich śmierci osiadł na stałe w Paryżu, gdzie zajmował ze starym sługą swej rodziny willę w arystokratycznej dzielnicy; tam nagromadził cały zbiór drogich obrazów i innych dzieł sztuki. Podczas kiedy on podróżował, zostawał starym sługą w Paryżu, aby dla swego panika, który często kroczył przybywał całkiem niespodziewanie, utrzymywać w gotowości eleganckie mieszkanie.

Anatol de Bligny poznał w swym życiu wiele kobiet, lecz żadna z nich nie zrobiła na nim takiego wrażenia, aby go mogła na stałe przykuć do siebie i zmusić do noszenia kajdan małżeńskich.

Lecz teraz nadeszła wreszcie ta chwila, bo, jak się zdawało, książę zakochał się w Leontynie Brepont. Jako spadkobierca starożytnego rodu, mógł on patrzeć wyżej, lecz uderzająca piękność Leontyny i coś w jej całej istocie, co go pociągało, skłoniło go do większego zajęcia się nią. Po pierwszym widzeniu się z Leontyną na balu, myślał o niej nieustannie, a nawet wyszeptywał jej imię. Mimo to sądził, że wkrótce o niej zapomni, jak o tylu innych. Lecz wkrótce spotkał po raz drugi Leontynę i ten wieczór rozstrzygnął.

Na drugi dzień oświadczył się oficjalnie baronowi o rękę Leontyny.

Baron de Brepont zdawał się wprowadzić być tem zaskoczony, jednak, jako mądry ojciec, przewidywał już od dawna wszystko i tylko udawał nieświadomość. Po kilku frazesach kazał zawołać

służącemu Leontynę, aby jej pozostawić rozstrzygnięcie co do oświadczenia księcia.

Zaledwie dziewczyna przekroczyła próg salonu ojca, pokrył ciemny rumieniec jej piękne lica. Zamieniła szybkie, wiele mówiące spojrzenie z pięknym młodzianem, którego wzrok z ufnością i miłością objął jej postać i nakryła długimi rękami swe modre oczy.

W parę chwil później była już w objęciach księcia, a ojciec błogosławił drżącym głosem, bo sądził, że to małżeństwo zapewni szczęście jego kochanej jedynaczce. Nie przeczuwał, ile bólu i udręceń spadnie na Leonie z powodu tych zaręczyn.

Zaręczyny młodej pary doszły wnet do powszechnej wiadomości, bo o to postarał się baron de Brepont, który codziennie stawał się dumniejszym ze swego zięcia, gdyż mu go powszechnie zazdrośczone. Nie miał także nic przeciw temu, by ślub odbył się jaknajprędzej, a najwykwintniejsze magazyny paryskie pracowały bez wytchnienia nad wyprawą Leontyny.

Baron nie uważał za konieczne zajmować się przeszłością księcia, albo jego stanem majątkowym. Dla niego wystarczało, że zięć jego pochodził ze starożytnej rodziny, kochał Leonie i nawzajem był kochany. Nawet bez majątku, ba — nawet chociażby tylko obdułzonego, widziałby zawsze chętnie w Anatolu swego męża.

Leontyna była podczas krótkiego czasu narzeczeństwa nad wyraz szczęśliwa. Książę kazał urządzić swą willę na przyjęcie młodej małżonki i do tego małego rajku miała wejść Leontyna, jako księżna de Bligny. Liczna służba miała dopiero w dniu ślubu stawić się do willi do objęcia obowiązków. Aż do tego czasu miał sam książę wraz ze swym starym służącym kierować urządzeniem pałacyku.

Leontyna nie mogła nawet marzyć o idealniejszym narzeczonym. Codziennie podjeżdżał swym elegackim powozikiem i przywoził najdroższe i najrzadsze kwiaty, które składał u stóp swej ukochanej.

Także baron de Brepont formalnie odżył, odkąd ze wszech stron zaczęto mu zazdrościć projektowanego małżeństwa. Nic nie słyszał złego o księciu, przeciwnie, każdy był nim poprostu oczarowany.

Połowa lutego była wyznaczona na dzień ślubu.

Obrzęd miał się odbyć w kościele „Notre Dame“ i przeszło pięćdziesiąt powozów otrzymało rozkaz przewiezienia gości do wspaniałego pałacu barona Brepont.

Płateczki śniegu, podobne do drobnicuchnych gwiazdek, wirowały w powietrzu, pokrywając gzymsy i ginąc w błocie ulicy. Mimo śniegu poranek był jasny i zapowiadał piękny dzień. Leontyna oczekiwała przybycia narzeczonego, bo chociaż pozostawało godzinę czasu do odjazdu do odbicia ceremonii, to przecież Anatol przyrzekł, że zjawi się wcześniej. Przytem miał tak szczęśliwy wyraz twarzy, że piękna narzeczona nie mogła wyjść z podziwu, że oznaczony przez Anatola czas już minął, a on się dotąd nie zjawił.

Baron z gardenią w butonierze i ozdobiony kilkoma orderami, których udzielił mu książę Monaco, w nagrodę wielkich usług, jakie mu baron oddał, biegał po całym domu, witał wolno nadchodzących gości, błyszczał formalnie od szczęścia. Jakże się przeto zadziwił, kiedy, wszedłszy do buduaru córki, zobaczył jej zacerwione oczy. W wspaniałej sukni stała narzeczona przy oknie i obróciła się szybko, usłyszawszy kroki. Lecz jakżeż się rozczarowała, zobaczywszy przed sobą, zamiast narzeczonego, swego ojca.

Baron podszedł ku niej i ujął ją za ręce.

Odrzućmy wyraz szczęścia z jego twarzy. Wpatrywał się pełen troski w Leontynę i jąkał:

— Mój Boże, cóż się z tobą dzieje, Leontyno? Spodziewałem się zastać cię wesołą i szczęśliwą, a zamiast tego widzę, że płakałaś! Cóż się mogło takiego wydarzyć?

Łkając, rzuciła się Leontyna na piersi ojca.

— Gine z trwogi o Anatola! — szeptała. — Już przeszło od kwadransa stoję przy oknie i wyglądam go. Tyle już powozów nadjechało, a jego niema i niema. Oby tylko nie spotkało go jakie nieszczęście!

Baron uwolnił się lekko z objęcia córki i poprowadził piękną narzeczoną do stołka. Odetchnął ciężko, jakby kamień spadł na jego piersi, a on chciał się od niego uwolnić.

— Jeżeli to tylko cię niepokoi, Leonio, to mogę być spokojny. Twe nerwy są zbyt rozstrojone skutkiem szczęścia, którego zaznałaś! Książę mógł wprawdzie być już obecnym, jak to wczoraj obiecał, ale jego nieobecność nie daje przecież powodu do takiego zaniepokojenia. Mogło go coś zatrzy-

mać, bo i szczęśliwy narzeczonego może się także spóźnić.

Baron myślał, że jego śmiech znajdzie odbicie na licu córki, lecz napróżno.

Leontyna potrząsała smutno głową.

— Tak, ojciec, ale cóż robić, że ten niepokój staje się coraz większy! Powinniśmy posłać służącego do Anatola.

— Ależ to jest niemożliwe, Leonio — odpowiedział baron. — Cóżby pomyślał Anatol! Jakże możesz nawet przypuszczać, że go spotkało nieszczęście! Człowiek taki jak on, który tysiące razy zaglądał w oczy ludożercom i tylokrrotnie zaglądał w oczy śmierci, znajdzie przecież sam drogę ze swego pałacu do nas bez żadnego wypadku! Mamy jeszcze pół godziny czasu do oznaczonej godziny, a ja ręczę ci, że Anatol w dziesięciu minutach będzie już u nas. Na płacz będzie dosyć czasu przed ołtarzem, gdy kapłan połączy wasze ręce; a teraz wesel się znowu, Leonio, i zapomnij o trosce męczącej cię z powodu Anatola! Jakże on będzie się śmiał, kiedy dowie się, jak się trwożyłaś o niego!

Baron ucałował czoło córki i przystąpił do okna. Z powozu, który właśnie zajechał, wysiadło dwóch gości weselnych, lecz księcia między nimi nie było.

Pocieszywszy jeszcze córkę kilkoma słowami, udał się baron do wspaniałych urządzonych salonów, w których zaproszeni goście oczekiwali pojawienia się młodej pary.

Nieobecność narzeczonego nie uderzała nikogo, gdyż sądzono powszechnie, że bawi u narzeczonej.

Baron zmieszał się z gośćmi, którym bogato ubrana służba podawała napoje rzeźwiące, lecz co chwila spoglądał na zegarek i coraz bardziej poczynął się niecierpliwie, gdyż pozostawał już tylko kwadrans czasu.

Wtem spytał jeden z gości o księcia, gdyż było to uderzające, że narzeczonego nie daje się widzieć.

Baron oświadczył na to, że jego przyszły zięć się jakoś spaźnia, lecz lada chwila go oczekują.

Znowu upłynęła chwila gorączkowego oczekiwania. Baron pospieszył do córki, lecz na schodach spotkał jej garderobianą, która mu oznajmiła, że Leonia popadła w lekkie omdlenie. Przerażony wpadł w kilku skokach do buduaru ukochanej swej córki i znalazł ją w objęciach rzeźwiącej ją sługi.

— Leontyno, me dziecko — zawołał i przypadł do otomany, na której, wśród chmury koronek, spoczywała Leonia.

W tej chwili omdlenie minęło i Leonia otworzyła swe piękne oczy.

— Czy już przybył, ojciec? Prawda, że ja napróżno tak strasznie się o niego trwożyłam!

Baron byłby chętnie skłamał, lecz Leonia byłaby mu nie uwierzyła, bo twarz jego powiedziała jej już całą prawdę.

Nagle wyprostowała się i obie jej ręce spoczęły na ramionach ojca.

— Jego niema! Musiało mu się więc coś złego stać! Czyż nie przysłał żadnej o sobie wiadomości? Baron potrząsnął smutno głową i rzekł:

— Pośle natychmiast do niego służącego i w dziesięciu minutach będziemy mieli pewność.

Leontyna uczuła nagle straszny niepokój, podniosła się i odprawiła garderobianą.

— Ojciec! będę się starała być zupełnie spokojną i czekać pewnej wiadomości — rzekła.

W tej chwili usłyszała głos dzwonu z pobliskiego kościoła „Notre Dame“, wydała cichy jęk i chwyciła się obiema rękami za serce.

— Godzina naszego ślubu — wyszeptała.

Baron spieszył na dół, lecz ledwie doszedł do połowy schodów, gdy spostrzegł posłańca, stojącego przed nim z czapką w ręku.

Służący przyprowadził go aż tutaj i rzekł do barona:

— Przepraszam jaśnie panie. Ten człowiek przyszedł właśnie i chce kasetkę jakąś oddać panie baronównie.

Baron Brepont zmarszczył czoło i popatrzył niechętnie na posłańca.

— Co to ma znaczyć? — zapytał — jeżeli masz oddać jakiś podarek, lub coś podobnego, to możesz to i tu również załatwić!

Posłaniec odpowiedział:

— Racz pan łaskawie darować, panie baronie, lecz ja otrzymałem surowy i stanowczy rozkaz oddać tę szkatułkę tylko do rąk jaśnie baronówny Leontyny de Brepont.

— Kto was posyła? — spytał baron, coraz więcej zaniepokojony.

— Nie znam tego pana — odpowiedział posłaniec. — Kilka kroków od kościoła „Notre Dame“ przystąpił do mnie jakiś pan, otulony czarnym płaszczem i spytał, czybym nie odniósł tutaj natych-